

Ptak w sieci

Jaga Rudnicka



Ptak w sieci

Wszelkie podobieństwo do zdarzeń,
sytuacji oraz osób jest przypadkowe.

Jaga Rudnicka

Projekt okładki: Ryszard Niedźwiedzki

Korekta: Urszula Więckowska

Wydawca: Self-Publishing Jadwiga Rudnicka

Copyright © by Jaga Rudnicka 2024

ISBN: 978-83-933052-8-5

Kontakt: dzikajgoda@gmail.com

www.artjaga.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie II poprawione, 2024 r.

„Człowiek jest uczniem. Cierpienie jest jego nauczycielem.”

Alfred de Musset

Dla moich dzieci, rodziny, przyjaciół.

I wszystkich ludzi dobrej woli.

JR

Rozdział 1

Wstęp

Lubię obserwować ludzi. Patrzyć, jak pod wpływają do mnie fragmenty z ich życia. Spowalniać myśli i zastanawiać się, czy inni ludzie się kochają albo czy marzą i śnią o miłości. Jak ja.

Lubię obserwować ludzi na ulicy, w kawiarni, w parku. Patrzyć, jak się całują. Podziwiać, gdy idą razem trzymając się za ręce. I uczestniczyć w ten skromny sposób w jednym wielkim, miłosnym akcie świata. W takich chwilach zamyślam się i patrzę tęsknymi oczami w dal, a moje serce dosłownie wyfruwa z duszy do tych pięknych i głębokich przeżyć.

Wincenty twierdzi, że idealizuję miłość. Lukruję ją. Przesładam. I że taka miłość w ogóle nie istnieje. To utopia, którą sama sobie wymyśliłam i wyidealizowałam, ponieważ jestem osobą „wyjątkowo wrażliwą” i „emocjonalnie uczuciową”. Twierdzi, że tak jak trudno jest w dzisiejszych czasach znaleźć taką kobietę jak ja, tak samo trudno jest znaleźć do takiej miłości mężczyznę.

Wincentego spotkałam na Targach Książki w Warszawie, parę lat temu. Podszedł do mnie pod jakimś pretekstem, nie pamiętam dokładnie pod jakim. Był taki „niedopowiedziany”, z lekko rozchylonymi ustami i spojrzeniem, które mówiło: taki właśnie jestem. I to jego spojrzenie zapamiętałam do dziś: ujmujące, zabarwione lekkim niepokojem, a jednocześnie czupurne i jakby czekające na odpowiedź do niezadanego pytania. Spodobał mi się. Miał siwe, a właściwie

szpakowate włosy i niebieskie, bystre oczy. Obserwowałam go; pamiętam, że coś jakby między nami zaiskrzyło. Potem przyszedł jeszcze raz. I potem znowu. Kiedy pojawił się kolejnym razem, czekałam na jakiś znak. Albo na zaproszenie. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Patrzył tylko na mnie przenikliwie, z wyraźnym smutkiem. Zapytał o Targi Książki we Frankfurcie. I tyle. Potem już nie przyszedł. Byłam trochę zła na niego za całą tę sytuację. Powiedziałam do mojej przyjaciółki:

– Taki fajny facet z tego Wincentego, co tu dzisiaj przychodził. Myślałam, że umówi się ze mną na kawę, a on po prostu się więcej nie pokazał.

– Ależ Igo, on tu był! Jeszcze ze cztery razy! Tylko ty byłaś zajęta!

– Mogłaś mi powiedzieć, że przyszedł. Ja go nie widziałam.

– Skąd mogłam wiedzieć, że to było dla ciebie ważne? Sama pilnuj sobie facetów!

Zrobiło mi się przykro, ale przełknęłam gorzką pigułkę i pomyślałam, że jeśli jemu będzie zależało, to na pewno znajdzie jakiś sposób, żeby mnie, królownę, odnaleźć.

Sanatorium

Z Nataszą zaprzyjaźniłam się tu, w nadmorskim sanatorium w Nordenay, położonym na jednej z wysp na Morzu Północnym. Wieczorami po wszystkich zabiegach, wykładach i inhalacjach, zaraz po kolacji, pomimo że zaczyna się lekko zmierzchać chodzimy brzegiem morza w stronę placu zabaw, a dokładnie w stronę huśtawek, które o tej porze zasypiającego razem ze słońcem dnia zieją pustką, i śpiewając rosyjskie stare pieśni huśtamy się do utraty tchu. My, babuszki! Co to się na tym świecie porobiło. I zagrzewamy się w ten sposób zmarznięte wcześniej i wychłostane przez wiatr.

Wracamy odurzone adrenaliną, wytworzoną w takich ilościach, jakbyśmy co najmniej skakały na bungee. Potem idziemy jeszcze na basen, po którym biorę już tylko szybki prysznic i kładę się spać tak zmęczona, że nie mam już czasu na użalanie się nad sobą i nad moją samotnością.

Dzisiaj Natasza sama pojechała rowerem w głąb wyspy. Prosiła, żebym pojechała z nią, ale po ostatnim wypadzie bolą mnie jeszcze wszystkie mięśnie. Wolę pochodzić sobie po miejskim parku. Tym bardziej, że ludzi tu co niemiara! Prawie same zakochane pary! Patrzą na nie z utęsknieniem serca, a jednocześnie z czułością. Tak bardzo pragnę znaleźć się w podobnej sytuacji: doświadczyć miłości i smakować ją wszystkimi zmysłami.

Niedaleko zwalnia się ławka. Czuję znużenie związane z samotnością. Siadam. Oswojone mewy podchodzą do mnie blisko, bliźniutko, prawie aż pod same moje stopy i żebrzą o kawałek ciastka. Ludzie leniwie przesuwiają się w czasie i przestrzeni. Zmieniają się tylko sylwetki, kolory ubrań i włosów. Niektóre spojrzenia przyciągają moją uwagę, inne są mi całkowicie obojętne. Z zamyślenia wyrывa mnie kliknięcie w telefonie. Odblokowuję go, zerkam na wpisy pod moimi zdjęciami i widzę lajki. Zaraz, zaraz, czy to na pewno on? Nie dowierzam. Sprawdzam jego fotkę na profilu. Tak! To Wincenty! Ileż to już lat minęło od naszego ostatniego spotkania w Warszawie? Cztery? A może pięć? Nieważne. Wpisuję podziękowanie. On mi odpisuje. Ja jemu też. On wysłał mi bukiet przylaszczyk, które sam sfotografował gdzieś w puszczy. Ja jemu fotki z parku. On...

Przez następne dwa dni piszemy ze sobą prawie bez przerwy, aż nagle Wincek pyta, czemu właściwie ze sobą piszemy, skoro się prawie nie znamy i że to ja go uwiodłam. Nie mam pojęcia, jak powinnam potraktować to jego stwierdzenie: jako żart? A on zaraz dodaje, że nastąpiła epoka uwodzenia kobiet. I ni stąd, ni zowąd kwituje:

Przeżyłaś wiele. Ja przy Tobie jestem neptek.

Skąd wiesz? I o czym Ty w ogóle piszesz?

Wczoraj przeczytałem Twojego bloga. Można z tego zrobić książkę, a nawet scenariusz.

Ach, tak?

Zdziwiłam się.

Jednak musisz wiedzieć, że ja niekoniecznie piszę tak, jak jest, tylko jak ja wszystko widzę, a to jest ogromna różnica.

Wydarzenia, widziane oczami jednej kobiety, niekoniecznie muszą być obiektywne.

Taaa. To, co przeżyłaś jest prawie nieprawdopodobne. Tego nie można sobie wymyślić. Napisz książkę, pomogę Ci ją wydać.

A napisać pomożesz?

Napisać nie, ale można kogoś o to poprosić.

Dzięki. Nie trzeba, żartowałam. Naturalnie, mogłabym spróbować napisać ją sama.

Oczywiście, też tak myślę. Bardzo ładnie piszesz. Poza tym jesteś bardzo twardą osobą. Po tylu przeżyciach odnosisz sukces. Tak naprawdę zawsze wychodzisz z opresji. Podziwiam Cię.

Ty mnie podziwiasz?

Tak, dlatego namawiam Cię do spisania Twojej historii. Masz dobry styl. Jesteś malarką, poetką. Do tego pisarka, to brzmi dumnie!

Dziękuję. To miłe. Tylko po co miałabym pisać o sobie? Dla rozgłosu?

Nie. Powinnaś napisać, żeby inni na Twoim przykładzie byli odważni i nie bali się trudnych sytuacji. Bo, jak widać, można. Można przejść ten czarny ocean życia i się nie utopić.

Wróciłam ze spaceru. Zmarznięta, ale zainspirowana. Przebieram się, piję gorącą herbatę i patrzę przez okno. Jak to dobrze, że mam okno z widokiem na morze – myślę. Bezkrzesne i nie do końca zrozumiałe. Jak nasze życie.

Odlot

Miałam zamknięte oczy. Leżałam w łóżeczku. Ile mogłam mieć lat? Cztery? Pięć? Jeszcze nie chodziłam do szkoły. Gwiazdy oświetlały niebo nade mną, a ja przemieszczałam się po nim w jakiejś szklanej bańce. Nie odczuwałam bezkresu kosmosu, jakby był zawężony do moich rozmiarów. Zwłaszcza ten fragment przy mnie. Reszta wydawała się być oddalona i rozmazana, ale wiedziałam, że to pozory; przestrzeń, w której przebywałam, miała swój początek i koniec. Mimo to, a może właśnie dlatego, byłam zachwycona. Odczuwałam niczym nieuwarunkowaną wolność, podczas której podziwiałam mieniące się milionem małych iskerek gwiazdy!

Nagle zrobiło mi się dziwnie nieprzyjemnie, jak przy ostrym hamowaniu. Zarzuciło mnie do przodu i spowodowało gwałtowne konwulsje. I wtedy usłyszałam, dochodzący do mnie z zaświatów głos. Należał do mojej mamy:

– A to cholera! Narzygała na pościel. Dopiero dzisiaj ją zmieniałam.

A po chwili w stronę kuchni do ojca:

– Nie wiem, czy w ogóle pojedę z nią na ten pogrzeb.

Natychmiast dotarło do mnie, że mama mówiła o mnie i że na tym właśnie wyjeździe, pociągami do dużego miasta, zależało mi najbardziej. To miała być moja pierwsza w życiu, wspaniała przygoda.

– Mamuś, pojedę – odpowiedziałam błagającym tonem. – Już nie będę cholera. Proszę.

– Zobaczymy.

Na drugi dzień wyzdrowiałam, a na trzeci pojechaliśmy. Samego pogrzebu nie pamiętam, ale wiedziałam, że ta zmarła to była ciocia mojej mamy, która się za mamą i jej siostrami zawsze przed babcią ujmowała. Pamiętam też, że w katedrze dostałam od jakiegoś księdza obrazek za to, że grzecznie klęczałam, a od mojej żyjącej jeszcze cioci chustkę z tureckim wzorem po zmarłej. I że mama w nocy miała znaki od ducha tej zmarłej, tylko nie bardzo wiedziałam, po co. Może jednak spróbuję od początku.

Czy mogę przedstawić?

Mój tato pracował jako elektryk, a moja mama zajmowała się domem. Było nas wszystkich razem siedmioro: ja, rodzice i moi bracia. Pierwszego mama urodziła „za panny”. A wcale nie było łatwo w tamtych powojennych czasach, będąc samotną kobietą, mieć odwagę urodzić dziecko, czyli pokochać je bez względu na wszystko jeszcze przed urodzeniem. Mama opowiadała mi, że jako panienka lubiła spacerować ze swoimi siostrami wzdłuż ulicy, przy której mieszkały, w ubraniach od cioci z Ameryki. Kiedy zaszła w ciążę, musiała wracać z pracy do domu przez pola, żeby jej nikt nie widział, bo babcia mówiła, że to hańba chodzić przed nosem sąsiadom, będąc w ciąży z bękartem. Dlatego, żeby nie denerwować sąsiadów i babci, mama szła okrężną drogą, podczas której śpiewała Januszkowi piosenki, głaszcząc go po swoim zaokrąglonym brzuszku.

Januszek przyszedł na świat w domu babci. Kiedy był jeszcze całkiem mały, to babcia straszyla go parasolem, żeby się czegoś bał. Potem mama poznała tatę i razem z Januszkiem przeprowadzili się z Kraszowa na „dziki zachód”, jak zwykła mawiać.

Puszyn być może nie różnił się niczym szczególnym od innych polskich miast, może i leżał na „dzikim zachodzie”, ale cała przestrzeń dookoła niego była dla mnie jak zaczarowany dywan. Wystarczyło pójść za miasto, żeby wznieść się na nim do krainy marzeń i podziwiać wszystkie cudowności natury: kwiaty, ptaki, motyle i drzewa. Oczywiście było tego piękna o wiele więcej, ale teraz nie o tym będę pisała.

My przyszedliśmy na świat w Puszyńcu właśnie; dwa lata przede mną Tosiek, potem ja. Mama często mówiła, że jestem w czepku urodzona. Miało to oznaczać, że będę miała w życiu szczęście. Przez parę lat to ja byłam dla mamy najważniejsza. Tosiu był wkładany do pralki „Frani”, ponieważ nie było jeszcze w sklepach żadnych chodzików ani innych luksusowych sprzętów dla dzieci, i przesiadywał w niej mój czas karmienia. Januszek jako najstarszy musiał podawać moje i Tośka smoczki, wypluwane regularnie na podłogę.

Potem przyszli na świat moi kolejni bracia: Radek i Maciuś, który ciągle chorował. Musiałam więc coś ze sobą zrobić, żeby „tak nie siedzieć jak krowa na miedzy”, jak mawiała mama. Zainspirowana oglądanym w telewizji „Jeziorem Łabędzim” Czajkowskiego (oczywiście nie miałam pojęcia, że to Czajkowski), postanowiłam zostać baletnicą. Godzinami naśladowałam występujących w telewizji tancerzy i tak długo próbowałam utrzymać się na palcach stóp, aż wreszcie mi się to udawało. Potem wykonywałam te czynności wielokrotnie, a muszę powiedzieć, że wcale nie było to łatwe: palce bolały mnie i były zaczerwienione; nieraz wydawało mi się, że zaraz mi odpadną. Z czasem potrafiłam utrzymywać się na nich coraz dłużej i dłużej, aż wreszcie nauczyłam się tańczyć! Mama z początku przestrzegała mnie, że „popsuję” sobie nogi, ale potem, widząc moje zamiłowanie artystyczne, dała spokój. Pewnego dnia zapisała mnie nawet do baletu, który właśnie otwierano w naszym mieście. Moja radość nie trwała jednak długo; sprawa baletu upadła, ponieważ nie było wystarczająco dużo dzieci. Płakałam, nie mogąc uwierzyć, że los spletał mi takiego figła na samym początku mojej kariery. Tańczyłam jednak dalej, aż do pewnego momentu, w którym zrozumiałam, że wykonywanie ciągle tych samych figur nie ma sensu. W tym czasie mój starszy brat poszedł do pierwszej klasy. W domu ciągle odrabiał lekcje; zauważyłam, że z czytania można się było dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy. Podpatrywałam więc Tośka, pytając jego albo mamę:

– A co to za literka? A jak się ją zapisuje?

Bardzo szybko zaczęłam samodzielnie czytać. Pierwsze bajki znalazłam na strychu naszej kamienicy. Z nich dowiedziałam się, że istnieje miłość, ale może w każdej chwili umrzeć razem z kochającymi się osobami i że pozostaje po niej pamięć, którą należy pielęgnować. Dowiedziałam się też, że trzeba dużo wycierpieć, żeby zwyciężyło dobro, na które tym cierpieniem trzeba zasługiwać. Bardzo przeżywałam bajkę o „Jasiu i Małgosi” i właśnie dzięki niej zrozumiałam, że niektórzy rodzice wcale nie są dobrzy dla swoich dzieci. Nie to, co moja mama. Ona była najlepsza na świecie. Czasami mówiła nawet do mnie „moja królowno”.

Podwórko, gruzy i my łobuzy

Naprzeciwko naszego okna od podwórka rosły grusze. Były tam też garaże najbogatszych sąsiadów. I wisiały sznurki na bieliznę. A po prawej stronie takie małe podwóreczko babci Kafkowej, odgrozione niziutkim płotkiem.

Nasze podwórko było piękne i ogromne. Często graliśmy na nim w klasy, znalezione na gruzach, naprzeciwko plitką. To był taki płaski kawałek dachówki wielkości mniej więcej połowy tabliczki czekolady, który należało przesuwac, skacząc na jednej nodze. Nie wolno było kopnąć plitki na linię, żeby nie skusić. Graliśmy też w dwa ognie, jeśli ktoś w ogóle miał piłkę albo w niewidzialną rękę. Ta ostatnia zabawa polegała na tym, żeby zrobić komuś z sąsiadów coś dobrego, ale żeby nie było wiadomo, kto to zrobił. Kiedy jednak babci Kafkowej przywieziono węgiel i nie miał jej kto tego węgla znieść do piwnicy, poszliśmy wszyscy do pomocy, rezygnując z „niewidzialności”. Oberwało mi się strasznie od mamy za nową kurtkę, którą „usmoliłam”. Byłam wtedy „głupią cholera”, dopóki kurtka nie została przez mamę wyprana.

Nasze podwórko jak już pisałam, było piękne i ogromne. Kiedy jednak trochę podrośliśmy, zaczęło się stawać małe i brzydkie. Chodziliśmy wtedy my, wszystkie dzieciaki, na drugą stronę ulicy, na gruzy. Była to wielka, pokryta powojennymi szczątkami domów, łąka. Tu to dopiero można się było bawić! Zawalone domy, cegły, plitki, a dookoła pełno pachnących roślin i krzaków jeżyn. Oczywiście potykaliśmy się często o te cegły i zdzieraliśmy sobie kolana na tych gruzach, ale kto by na to w ogóle zwracał uwagę!

Byle jaki wujek

Pewnego wiosennego dnia, naprzeciwko nas, w kamienicy przy „gruzach” zamieszkała ciocia z wujkiem i trzema córkami: Melą, Gizelą i Bernadeta. Na początku odwiedzaliśmy ich z mamą i Radkiem. Potem, kiedy urodził się Maciuś, ja i Radek przybiegaliśmy sami.

Przesiadaliśmy zawsze w kuchni, bo tu skupiało się całe życie rodzinne. U cioci wszystko było inne i jakże ciekawe! Na przykład taki mały stołeczek na kółkach przy piecu. Każdy chciał na nim siadać i jeździć tam i z powrotem, słuchając radosnych, ciocinych wywodów. Albo wiecznie zimny pokój, w którym od świąt Bożego Narodzenia do wiosny stała olbrzymia sosna, przysłana pociągami przez babcię z Kraszowa. Domyślałam się, że my na taką nie zasługiwaliśmy. Za to ciocine drzewko, przystrojone w rajskie jabłuszka i pierniki, pachniało tak pięknie lasem i szyszkami!

Drugi pokój, sypialny, był jeszcze bardziej interesujący. Po prawej stronie od wejścia, w kąciку, znajdowały się dwa wózki, w których leżały przepiękne lalki, ubrane w atlasowe suknie; jedna ładniejsza od drugiej. Byłam szczęśliwa, gdy ciocia pozwoliła mi chociaż przez chwilę się nimi pobawić. A ona śmiała się, widząc mój zachwyty.

Mój młodszy braciszek wołał wujka. Od razu wdrapywał się mu na kolana i uczył się od niego rysunków. Bo rysować nasz wujek potrafił. Jeszcze jak! W przedpokoju wisiały obrazy z różami, które on tak pięknie, własnoręcznie wykonał. Nie przypominam sobie za to, żeby coś mówił. Raz spytałam o to ciocię i usłyszałam w odpowiedzi: „Ach, ten twój byle jaki wujek, dziecko”. Pamiętam też, że kiedy ciocia o nim opowiadała, to podnosiła głos i wzywała wszystkich świętych, ale nigdy nie słyszałam, żeby on w domu cokolwiek powiedział. Za to gdzie indziej, tak. Radek twierdził, że wujek miał bardzo miły głos. W zakładowym przedstawieniu, w sztuce Wiliama Szekspira, grał z powodzeniem zazdrosnego Otella. Wszyscy byli tą jego grą oczarowani. Bo wujek miał bardzo romantyczną duszę. W ogóle był to ponoć miły, skromny i lubiany człowiek. Ciocia twierdziła, że lubili go tylko koledzy, z którymi pił. A przecież mój brat Radek też przepadał za nim. Wujek ocieplał go. Był dla niego takim zastępczym ojcem. Kiedy Tosiu i Radek spotkali kiedyś wujka w drodze do domu, to wyrecytował im tego zakładowego Otella! Za to gdy wujek wracał do domu, to ciocia żadnego Szekspira słuchać nie chciała, tylko biła go taką drewnianą miotelką do zbierania śmieci. Tę właśnie miotelkę miała zawsze pod ręką, bo co, jak co, ale śmieci pod nogami to moja ciocia potrafiła

wyczuć nawet u tego najmniejszego, bosego paluszka. Podginała wtedy tak śmiesznie wszystkie palce u stóp do góry, żeby się nie pobrudziły, i krzyczała do swoich córek:

– Kozy, zamiatać mi tu!

Moja mama często stawiała w obronie wujka twierdząc, że on nie jest pijany, tylko podпиты i że nie przepija wszystkich pieniędzy jak nasz tato. Ciocia natomiast uważała, że mama ma bardzo dobrego męża, który potrafi się zatroszczyć o wszystko, tylko nieraz sobie wypije, ale ona nie umie z nim postępować i prowokuje go. Mama broniła się, powtarzając ciągle:

– Przyganiał kociół garnkowi!

Wiele razy wypominała cioci, jak to wujek musi często sypiać w łóżeczku dla dzieci, stojącym w kuchni, tak to ciocia umie się obchodzić ze swoim mężem! Raz się nawet o to posprzeczały tak skutecznie, że ciocia podobno uderzyła mamę w głowę mydłem, które akurat trzymała w ręce i przez jakiś czas nie odzywały się do siebie. Nie miało to jednak żadnego wpływu na moje dobre relacje z nią. Odkąd zaczęłam tam przychodzić, to ciocia zawsze mnie dowartościowywała i wspierała. W przeciwieństwie do swoich córek. Cokolwiek one robiły, robiły źle. Cokolwiek ja robiłam, w oczach cioci zawsze znajdowało to uznanie i aprobatę. Raz tylko, kiedy wylałam atrament na nowy obrus i schowałam się pod stołem, ciocia nie pochwaliła tego uważając, że powinnam się zwyczajnie przyznać do winy i przeprosić. Nie miałam na tyle odwagi, ponieważ myślałam, że zasłużyłam na lanie, ale ciocia wytłumaczyła mi, że nie bije się dzieci za to, że zrobiły coś nieumyślnie. Moja mama jednak o tym nie wiedziała. W innych natomiast przypadkach ciocia często chwaliła mnie do swoich córek:

– Mela, zobacz, jak Iga pięknie obrała ziemniaki. – Gdzieś ty się tego, dziecko, nauczyła? – pytała mnie.

Po takim stwierdzeniu chętnie pomagałam cioci dalej, na przykład brałam się za zmiatanie podłogi. A ona co to:

– Zobacz, Bernadeto, jak się powinno zamiatać!

Często otrzymywałam od cioci takie czy inne pochwały, nie sposób byłoby ich wyliczyć. W tym wszystkim dla mnie najważniejszy był

fakt, że moje wysiłki zasłużenia sobie na miłość u dorosłych, nie szły jednak na marne.

U nas w domu było odwrotnie. W oczach mojej mamy to moje kuzynki były ułożone, skromne i grzeczne. Podczas gdy ja często byłam „nieposłuszna”, „pyskata” i „krnąbrna cholera”, to Mela była zawsze dla mojej mamy wzorem wszelkich cnót, Gizela – symbolem skromności i łagodności, a Bernadeta miała wszystkie te zalety razem wzięte.

* * *

Usłyszałam kliknięcie. Wspomnienia rozwiały się jak mgła. Zaglądałam na Messengera: to Wincenty.

Halo, Igo, jesteś? Chciałem Ci życzyć dobrej nocy.

O, to miłe z Twojej strony. Dobranoc.

A co robisz?

Piszę.

Piszysz? Co piszesz?

Wspomnienia, do których tak mnie zachęcałeś. Kto wie, może będzie z tego książka.

To wspaniale! Już się cieszę i nie przeszkadzam. Pisz!

Nie przeszkadzasz. Piszę.

I bywaj.

W Twojej komórce?

Nazywaj to, jak chcesz. Swoją drogą szybko Cię przekonałem.

To chyba dobrze?

To bardzo dobrze. Ciekawe, czy do innych rzeczy też Cię tak szybko przekonam?

Do następnego kliknięcia.

Dobre. Cześć.